

Pan Cogito po latach

1

Gdyby Herbert nie napisał nic więcej, ten jeden tom wierszy, wydany w 1974 roku *Pan Cogito*, precyzyjnie skomponowana z czterdziestu utworów opowieść o fundamentalnych doświadczeniach człowieka myślącego w drugiej połowie XX wieku, opowieść o drodze tego człowieka ku pełni człowieczeństwa, z pewnością znalazłaby się na najwyższej półce — powiedzmy: biblioteki książek budujących, obok *Kwiatów zła* Baudelaire’a, *Vade-mecum* Norwida, *Czarodziejskiej góry* Manna...

Tak też zwykliśmy o *Panu Cogito* sądzić: książce z myślą o nas przede wszystkim ułożonej i do nas kierowanej ku zbudowaniu i moralnej nauce. Ułożonej z myślą o nas i do nas adresowanej w imię racji tyleż zasadniczych, co oczywistych. Można jednak tom z połowy lat siedemdziesiątych tudzież w ogóle późniejszą obecność u Herberta Pana Cogito widzieć równocześnie nieco inaczej, tzn. biorąc pod uwagę również innego adresata niż „zwykli czytelnicy”. Może najprościej będzie to pokazać oświetlając ten moment w poetyckiej i duchowej biografii autora, w którym pojawił się Pan Cogito. Ograniczę moje uwagi tylko do tomów wierszy, jakie Herbert wydał przed 1974 rokiem.

2¹

Świat od dawna, co najmniej od przełomu romantycznego, przestał być kosmosem. Polityczne kataklizmy dwudziestego wieku — ostatecznie pogrążyły go w chaosie. Poeci różnie na to odpowiadali: rozpaczą, buntem, ucieczką do krainy wyobraźni (bądź języka), poszukiwaniem jakiegoś w miarę pewnego gruntu czy fundamentu. Herbert wybiera to ostatnie: próbę odnalezienia idei, która dawałaby oparcie w odwartościowanym świecie. Świadectwem takiego wyboru jest debiutancki tom, *Struna światła* (1956).

Poeta nie ułatwia sobie zadania. Nie ułatwia tym więcej, że historia dwóch ostatnich stuleci nauczyła go nieufności. Jest więc nieufny, przede wszystkim wobec tych światopoglądowych, filozoficznych i estetycznych opcji, które wydają się zakładać ostateczne rozwiązanie przeklętych problemów istnienia. Toczy zatem na kartach precyzyjnie skomponowanej książki dyskusję ze współczesnymi odmianami stoicyzmu, z mistyką, z romantyzmem, parnasizmem i modernizmem, biorąc je po kolei w nawias.

Jest tych nawiasów tak dużo, że poecie nie pozostaje nic innego, jak cofnąć się i zacząć od początku. Powraca więc do źródła: do starożytności, do Grecji. Znajduje tam, gdy mierzyć miarą miłośnika białych marmurów oraz estetyzującej sztuki poetyckiej, niewiele (*Do Apollina*; *nb.* wiersz jest pierwszym, jeszcze umiarkowanym krytycznym, spotkaniem Herberta z bogiem poetów). Jednocześnie zaś, szukając nie formy, lecz idei, znajduje — w hymnie, w głęboko lirycznej modlitwie *Do Ateny* — to, co zasadnicze. Atena jest patronką *polis*, miastarepubliki, jednego z najważniejszych motywów u Herberta. Tutaj, w *Strunie światła* — jest przede wszystkim boginią mądrości, umysłu, daru myślenia; myślenia, które jest ponad kruchość, ciemność i okrucieństwo losu, ponad brutalną siłę i barbarzyństwo. Do takiej bogini, do tej Ateny kieruje Herbert hymn-modlitwę — tym samym stwierdzając, że odnalazł zasadniczą ideę, starą i jednocześnie jak modlitwa żywą i aktualną: ideę człowieka jako w pełni

¹ Cały ten rozdziałek jest nieco w szczegółach zmienioną wersją fragmentu mojego szkicu *Pan Cogito*, drukowanego w tomie *Dlaczego Herbert. Wiersze, komentarze, interpretacje*, wyd. II poszerzone, red. M. Woźniak-Łabieniec, J. Wiśniewski, Łódź 2004, s. 239–245.

podmiotowej i suwerennej osoby, której podmiotowość i suwerenność ufundowane są na boskiej zdolności myślenia.

Drugi tom wierszy, *Hermes, pies i gwiazda* (1957), jest książką o samotności, o piekle historii i o całkowitym podeptaniu człowieczeństwa przez totalitarne ideologie. O istocie tego piekła oraz naszej bezradności wobec niego mówi wiersz *Stoimy na granicy...* O samotności — proza poetycka *Hermes, pies i gwiazda*. Tytułowy Hermes, pierwotny bóg Arkadyjczyków, wynalazca siedmiostrunnej liry, bezpowrotnie wygnany z ojczyzny, uosabia otwartą na świat postawę, obejmującą i akceptującą wszelkie przejawy przebogatej materii istnienia: życie i śmierć, szczęście i cierpienie, zmysłową urodę świata i metafizykę duchowych wtajemniczeń, dziedzinę natury i dziedzinę kultury. W świecie bez harmonii, głuchym na wartości postawa taka — mówi Herbert, równocześnie wybierając na swego patrona nie Apollina, lecz właśnie Hermesa² — prowadzi jedynie do samotności.

Poeta w pełni solidaryzuje się z Hermesem oraz zniewolonymi i cierpiącymi. I otóż w tym momencie — jest to wszak solidarność poety, „poetycka” — pojawia się problem następujący: jak, nie gubiąc wielkiej idei, pogodzić cierpienie z pięknem, które stanowi wszak domenę poezji. W *Hermesie, psie i gwiazdzie* postawiony wstępnie (we fragmencie *W drodze do Delf*), problem sprowadza się do pytania o przedmiot i o sens poezji. Trzeci tom wierszy, *Studium przedmiotu* (1961), przynosi próbę odpowiedzi na to pytanie.

Wygląda ona mniej więcej tak: poeta nie wyrazi cierpienia bezpośrednio; Apollin przegrywa z Marsjaszem (*Apollo i Marsjasz*). Przegrywa jako bóg poezji czystej, i odchodzi. Zraz jednak w następnym wierszu, w modlitewnym *Fragmencie*, pojawia się jako Srebrnołuki, Argilotoks, bóg śmierci i rzeczy ostatecznych. Skierowana do niego prośba dotyczy dobra i prostoty, i nie będzie spełniona. Po pauzie jednak, po chwili namysłu i wahania poeta kieruje do Apollina inną prośbę, chyba jedyną, jaka ma szansę spełnić się: „obłoki zsyłaj Apollo obłoki zsyłaj obłoki”. Jest to prośba — mówiąc w skrócie — nie do Srebrnołukiego, lecz do boga poezji, ale jednocześnie pamiętającego, że nosi również przydomek Argilotoks. Robiąc myślowy skrót powiedzieć można, że poezja jest, jak tytuł tego wiersza-modlitwy, tylko fragmentem; że jest — jak obłoki w drugiej prośbie, wypowiedzianej w miejsce niespełnionej prośby zasadniczej — „zamiast”. Ale kiedy widzieć ją tak, jak ogląda się obłoki, a ogląda się je z ziemi, jeżeli więc widzieć ją pamiętając o gruncie, z jakiego wyrasta i o ulotności, jaka ją ogranicza, jej sens zostaje ocalony. Sens, który bierze się z kontekstu, nie z dosłowności.

Nie wyjaśniam tajemnicy — mówi poeta — ani niczego nie wyrażam „wprost”. Nie oznacza to jednak, że jestem bezsilny. Wierzę bowiem — i zapisuję to w ostatnim słowie mojego studium przedmiotu, w *Pogodzie* — że w „kopercie nieba jest list do nas”. Koperta jest delikatna: powietrze zapieczętowane „błyszczącą kulą” słońca. Przed chwilą byłem świadkiem — o czym opowiedziałem w przedostatnim utworze studium, w *Drwalu* — jak barbarzyńca gonił za tą pieczęcią z toporem. Wynik był z góry do przewidzenia: w promieniach zachodzącego słońca świeci rozłupany pień szlachetnego dębu. Ja nie jestem drwalem, lecz poetą, a więc wiem, że za pieczęcią słońca muszę wytrwale i wiernie iść, i wiem, że tylko ulotnie (ulotnością obłoków) i tylko w przybliżeniu dane mi jest mówić o tym, co widzę (a patrzę prosto w słońce) podczas tej wędrówki.

Określił więc Herbert granice (i ograniczenia) poezji, określił jej status i sens. Ale też w tym momencie pojawia się problem kolejny, bodaj najważniejszy. Jeżeli mianowicie to, co mówię, dając świadectwo samotności i cierpienia, mówię nie wprost, ponieważ zobowiązany jestem, inaczej niż drwal, do umiaru i dystansu — to powstaje pytanie, w imię jakich wartości, w imię jakiej prawdy, wedle jakiej miary mówię, orzekam, daję świadectwo? Czy inaczej: jak mam mówić, by uniknąć pułapki mitologizowania, nie uwikłać się w mitologizującą tau-

² Zob. *Balkony z Hermesa, psa i gwiazdy* („Balkony eheu nie jestem pasterzem”), *Szufladę ze Studium przedmiotu* („O moja siedmiostrunna z deski”), *Prośbę z Elegii na odejście* („Ojciec bogów i ty mój patronie Hermesie”).

tologię? W czwartym tomie wierszy, w *Napisie* (1969), Herbert mierzy się z tym pytaniem. Powiada zatem, w szeregu precyzyjnie następujących po sobie utworów, że ojczyzna, pokoleniowe doświadczenie, tradycja narodowa, struktura cywilizacji europejskiej, humanistyczny ideał życia godziwego, natura, eschatologia *etc. etc.* — to nie są wartości pewne i niezawodne. Nie sposób pośród nich, w ogóle nigdzie na zewnątrz nie sposób odnaleźć niezawodnej i pewnej miary wartości. Pozostaje więc?... Sądzę, że odpowiedź można znaleźć we fragmencie prozy poetyckiej pod wymownym tytułem *Próba rozwiązania mitologii*.

Bogowie greckiego, pierwotnego Olimpu (chodzi bowiem o rzeczy u Herberta zasadnicze i elementarne), bogowie więc Olimpu — stawia wniosek Zeus — muszą się zdekonspirować (w istocie więc: zrezygnować z boskości) i wejść w racjonalne społeczeństwo. Tylko w ten sposób mają szansę przetrwać. Atena chlipie w kącie. Innych wniosków niż Zeusowy nie ma. W głosowaniu nie bierze udziału Hermes. Atena chlipie w kącie. Kiedy wieczorem, wracając z fałszywymi dokumentami do miasta, „Olimpijczycy” przechodzą przez most, Hermes skacze do rzeki. Tonie, nikt go nie ratuje. Śmierć ta, nie wiadomo: dobry czy zły znak, jest w każdym razie punktem wyjścia do czegoś nowego, niejasnego.

Próba rozwiązania mitologii daje ironiczny obraz zmarniałego świata, wobec którego bezradna jest Atena, bogini umysłu, i który zabija Hermesa, uosobienie głęboko humanistycznej i otwartej na świat postawy. Przesłanie utworu idzie jednak dalej. Hermes ginie: postawa wszechobejmującej akceptacji losu i świata przegrywa ze światem, który zmarniał ostatecznie. Ale pozostaje Atena. Owszem, jest słaba, bezradna i krucha, ale jest: nie sposób bowiem zabić umysłu, uśmiercić myśli. I o jednej jeszcze rzeczy mówi ta krótka opowieść, mianowicie o wierności. Ona właśnie — wierność — stanowi wspólny mianownik dla płaczu Ateny oraz bojkotu głosowania i samobójczej śmierci Hermesa: wierność wyrażająca się buntem przeciwko zdradzie Olimpu, buntem przeciwko zgodzie na świat pozbawiony duchowego fundamentu. Tyle pozostaje poecie: płacząca Atena — kruche ale nieśmiertelne „myślenie”, oraz wierność Olimpowi — wewnętrzne przekonanie, wiara, że niepodobna zgodzić się na świat taki, jaki jest.

Niewykluczone, że redukcja i demitologizacja — właśnie „próba rozwiązania mitologii” — jakiej Herbert dokonuje w *Napisie*, odbyła się nie bez wpływu Henryka Elzenberga, uniwersyteckiego profesora i przyjaciela poety. W wydanym w 1963 roku *Kłopotcie z istnieniem*, dzienniku, jaki prowadził Elzenberg, pod datą 10 lipca 1960 znajdujemy następujący fragment:

W miarę lat [...] wyczerpywała się dla mnie moc soteriologiczna wszystkich systemów, w których kolejno lub jednocześnie próbowałem znaleźć oparcie. [...] Wobec tego pomyślałem sobie jakiś czas temu: czy nie byłoby rzeczą rozumną wszelkiej intelektualizacji swych postaw moralno-religijnych dać pokój? ograniczać się w każdym wypadku do samej uczuciowo-praktyczno-wolucjonalnej postawy? Rozważam z a i p r z e c i w tej myśli.

P r z e c i w intelektualizacji: jej [...] wrażliwość na ciosy. Gdy zajmę po prostu postawę — wyrzeczeniową, stoicką, estetyzującą, mistyczną — znajduję się w pozycji nie do zdobycia, póki z niej sam nie ustąpię [...]. Jakikolwiek jest świat, jakikolwiek natura naszych sądów, istota prawdy, związki przyczynowe, bieg dziejów, ja mam prawo jako ideał wybrać sobie ataraksję, samostarczalność, kontemplację rzeczy pięknych lub rozpuszczenie wszystkich „rzeczy” w Nieokreślonym. Intelektualizując, zawsze coś twierdzę, i tym samym sam dobrowolnie oddaję się pod sąd, który moje twierdzenia może każdej chwili zważyć na szali i ewentualnie wykazać, że tej próby nie wytrzymują. [...] Otóż teraz: ja osobiście w swej „mistyce” — nie zawsze ze skutkiem, ale taki był program — pilnie baczyłem, by żadnych twierdzeń, żadnego „taki jest świat” nie wygłaszać; miała ona zostać tylko postawą. Czy może i na inne postawy nie warto by tej zasady rozciągnąć? — Ale tu od razu się pojawiają racje przeciwne: czystej postawie bez zintelektualizowania brak k o n s y s t e n c j i . Niby to jest ustalona, przez podmiot najrzetelniej uznana za swoją, a pozostaje na łasce zmiennych stanów duszy, a stany duszy — jakże często na łasce zdarzeń, pchnięć od zewnątrz, sytuacji dziejowych. Intelektualizacja dostarcza jakiejś klamry, spięcia, trzonu i pionu. Wystawia na krytykę, ale chroni przed niebezpieczeństwem jeszcze groźniejszym: rozchwianiem się człowieka od wewnątrz. Więc? Problem nie należy do łatwych. Można go przenieść na inny teren i powiedzieć: według tego, co kiedyś nazywano „zamiarem natury”, pojawiłem się na tym świecie w cha-

rakterze istoty myślącej; szanuję więc ten zamiar i myślę. Ryzykuję błąd, ryzykuję przegraną, ale podtrzymuję swój honor: własny i tej niby naszej „matki” natury³.

Sprawdzanie wartości tudzież zastrzeżenia, jakimi od początku, od *Struny światła*, opatrywał je Herbert, wydają się bliskie temu, co o wyczerpywaniu się „mocy soteriologicznej wszystkich systemów” mówi Elzenberg. Także punkt dojścia jest u obydwu podobny: w i e r n o ś ć wobec Olimpu, czyli naturalnego a zawsze tajemniczego duchowego fundamentu rzeczywistości; s z a c u n e k dla równie jak ten duchowy fundament zagadkowego „zamiaru natury”. Paralela obejmuje również: b e z r a d n e „chlipanie Ateny” u poety i r y z y k o w n e „myślę” u filozofa. W tym miejscu dochodzimy do źródła narodzin Pana Cogito.

Jest Pan Cogito — mówiąc w metaforycznym skrócie — potomkiem Ateny, bogini tych, którzy myślą, którzy intelektualizują. Imię bierze (wraz z umotywowaniem) w znaczeniu Elzenbergowego „myślę”, oczywiście nie bez wpływu Kartezjusza, który niegdyś dokonał podobnej redukcji, jak Herbert i jego uniwersytecki profesor. Ponieważ zaś owo „myślę”, w jakim Pan Cogito, w jakim „ja” jest zakorzenione, zdane jest tylko na siebie, istnienie Pana Cogito jest ryzykowne. Elzenberg pisze o tym ryzyku i jego przyczynach wprost; Herbert mówił w *Próbie rozwiązania mitologii* o czymś „nowym, niejasnym”.

Pan Cogito mógł więc i miał prawo pojawić się u poety. Pojawić się, ażeby... Elzenberg mówi o „myślę”, że podtrzymuje ono honor człowieka i „tej niby naszej «matki» natury”. Herbert, powołując do istnienia Pana Cogito — a jest to gest wpływający zarówno z intelektualnego „myślę”, jak wolicjonalnego „chcę” (ponieważ wierzę) — Herbert więc, powołując do istnienia o s o b ę Pana Cogito, próbuje ocalić ideę człowieka-osoby i godność człowieczeństwa. Ocalić — dając go jako wzór, jako budujący przykład — dla nas.

Wymownym potwierdzeniem trafności i sugestywności tej próby jest odbiór wierszy „cogitańskich” przez studentów w Stanach Zjednoczonych. Czytał Herbert niektóre z tych wierszy, pisanych dla przygotowywanego tomu, na wieczorach autorskich w 1971 roku. Czytał dla słuchaczy — mówiąc najzwyczajniej — znajdujących się na antypodach tej przestrzeni i tego systemu wartości, jakie reprezentował on sam i jego Pan Cogito. Czytał — i spotkał się z pełnym zrozumieniem i akceptacją. Tak dalece, że dwa lata później, w 1973 roku, jego bohater — jako „Mr. Cogito” — dał tytuł studenckiemu periodykowi literackiemu.

3

Pan Cogito, zrodzony z tego, co zasadnicze i elementarne, przemawiał do innych i był użyteczny. Nie tylko jednak do innych przemawiał, był przez nich słuchany i słyszany. Nie tylko im — podkreślę — był potrzebny. W nie mniejszym bowiem stopniu potrzebny był samemu poecie. Poecie, który doszedł do niego układając przez kilkanaście lat wiersze. Doszedł do niego w tym sensie, że dotarł do upostaciowanego przez Pana Cogito własnego „ja”, dotarł do pewnego i nieredukowalnego jądra swojej, poety i człowieka, osobowości. Dotarł — do własnej istoty, do swojej (i jednocześnie uniwersalnej) prawdy; do bezwzględnej, niezaprzeczalnej prawdy o sobie.

Dotarł... W tym miejscu wypadnie cofnąć się dwa lata wstecz, do roku 1967, do momentu sprzed tego rachunku, jakiego na drodze do Pana Cogito dokonał Herbert w *Napisie*. Chodzi o moment — o katastrofę, o której Katarzyna Herbertowa mówiła:

W 1967 roku „zaczęło się to nieszczęście, które ciągnęło się za Zbyszkim już przez całe życie. Z początku nie rozumiał, co się właściwie z nim dzieje. Ja też o tej chorobie prawie nic nie wiedziałam. A to była potworna choroba. Tracił wolę życia. Zaczęły się lęki. Najpierw próbował je zapić. To coraz mniej pomagało. Lęki się nasilały. Stawał się agresywny. Wobec świata i także wobec siebie. Nie mógł tego wy-

³ H. Elzenberg, *Kłopot z istnieniem. Aforyzmy w porządku czasu*, Kraków 1963, s. 433–434.

trzymać. Nie chciał już dłużej żyć. [...] A potem gwałtownie przysła faza zupełnie przeciwna. Tak miało być już zawsze. Bo kiedy mijała depresja, nastawał czas euforii. Wtedy Zbyszek był zawsze w cudownym humorze. Śmiał się niemal bez przerwy. Nie było całej powagi ani grozy życia”⁴.

Kim jestem ja, wbrew swojej woli i świadomości rzucany od najczarniejszej rozpacz do równie niepojętej szaleńczej euforii? Nie ma na to pytanie jednej, jednoznacznie rozstrzygającej odpowiedzi. Żadnej perspektywy nie stanowi też — by pozostać przy metaforze samego Herberta — *curatia dionisia*, zalewanie problemu winem. Gdyby bowiem zdać się na to — nie bez ironii mówi Herbert w wierszu zatytułowanym *Curatia Dionisia* — moja poezja byłaby w istocie nie więcej jak fałszywym „napisem”, w skażonej łacinie, na nagrobku rzymskiej kurtyzany (od tego „Napisu”, pisanego majuskułą, wziął tytuł cały tom).

Cóż zatem pozostaje? Otóż zapewne tylko to, co poeta zrobił: dokończenie tych rachunków, jakie rozpoczął przed laty. Kończy je więc — kończy w tomie *Napis r o z w i ą z a n i e m m i t o l o g i i*. Kończy — powtórzę — nie bez udziału swojego profesora i mistrza. Dodałbym, że najlepsze to lekarstwo na utratę poczucia tożsamości. Kończy więc — i dochodzi do Pana Cogito: do odkrycia Pana Cogito w porządku poezji, w porządku literatury, i do odkrycia Pana Cogito w sobie. I dalej — trzyma się tego odkrycia. Píše zatem, układa, rekonstruuje możliwie pełną historię, duchową biografię tego „ja”, któremu na imię Pan Cogito. Píše ją, układa i ogłasza dla zbudowania innych. Jednocześnie — pisze i układa dla zachowania, dla potwierdzenia, dla upewnienie siebie dla samego siebie. I — nie przestaje tego robić w zasadniczych, kluczowych kwestiach już zawsze, do końca...⁵

Owszem, jest Pan Cogito konstrukcją, jest przedmiotem „z poetyki”. Jest — i z wszelkimi tego konsekwencjami niepodobna o tym nie pamiętać, zważywszy istotę poetyckiego warsztatu Herberta. Po lekturze rozmowy Jacka Żakowskiego z żoną poety nie umiem jednak wyłącznie w takich kategoriach myśleć o Zbigniewie Herbercie i o Panu Cogito, o j e g o Panu Cogito. Nie umiem — dopowiem demagogicznie — w imię tych racji, które niegdyś kazały autorowi *Struny światła* odwrócić się od Apollina i pochylić nad cierpiącym Marsjaszem.

⁴ *Pani Herbert. Katarzyna Herbert w rozmowie z Jackiem Żakowskim*, „Gazeta Wyborcza” 30 grudnia 2000–1 stycznia 2001, nr 303, s. 11.

⁵ Pan Cogito pojawia się we wszystkich późniejszych tomach Herberta (*Raport z obłożonego Miasta i inne wiersze*, 1983; *Elegia na odejście*, 1990; *Rovigo*, 1992; *Epilog burzy*, 1998), pojawia — na ład bardzo zasadniczego kontrapunktu.